Nr. 15. Warszawa, dnia 28 Marca (9 Kwietnia) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90		
miesięcznie	„ 30	w Austryi rocznie	9 guldenów
		w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

FANATYZM.

„Biada wam Doktorowie i Faryzeuszowie obłudnicy: iż dawacie dziesięcinę z miętki i z, anyżu i z kminu, a opuściliście co ważniejszego jest w zakonie: sąd i miłosierdzie i wiarę. To było trzeba działać, a owego nie opuszczać.”

Ewang. Ś-go Mateusza. 23.

Uchylamy zasłonę, poza którą zajrzeć czasami także się godzi—poruszamy kwestyją, która niejednego oburzyć może..... Ktokolwiek śmielszą stopą wkroczył w bramy tego przybytku, kto bez bojaźni wygłosił słowo przykrej prawdy, czekał go sąd srogi na ziemi.... piekło za grobem.

Czyż dzisiaj społeczność już do tyla przejrzała, iż złe od dobrego, prawdę od fałszu, rzeczywistość od komedyi odróżniać potrafi? Nie.... jeszcze do takiej szczęśliwej chwili daleko. Nikt niezaprzeczy jaką potężną przeszkodą prawidłowego rozwoju ludzkości, był i jest jeszcze egoizm, oraz zła wola jednostek, posiadających demoniczny zaiste gienijusz i siłę. Umiały one i umieją dotąd walczyć swoistą im bronią, a imię tej broni..... *fanatyzm.*

Namiętność wszelka już zgóry wyklucza rozwagę i rozumowe dowody. Walka z nią na drodze przekonań niepodobna, jednym lekarstwem czas i skrzętne usuwanie materyjału, który podsyca szkodliwą fermentacyją.

Ciemnota i zabobony są źródłem fanatyzmu, skoro to źródło pod wpływem promieni grzejącego światła wyschnie.... wszelkie dysputy i rozprawy w tej mierze nie będą mieć miejsca.

Czy jednak dzisiaj potrzeba mówić, a tym bardziej pisać o tym? Odłożylibyśmy pióro gdyby nam wewnętrzne przekonanie tak rozkazało.

Należy postawić kwestyją we właściwym świetle.

Gdyby fanatyzm jakikolwiek w niczym nie przynosił szkody, gdyby był rzeczą obojętną... ha w takim razie możnaby go tolerować, nie zwracać nań nawet uwagi. Ale niestety dzieje się przeciwnie.

Każden stan społeczny jest mniej lub więcej wpływowy, każde stowarzyszenie kieruje się według programu nakreślonego, każda jednostka nawet usiłuje zająć jak najdogodniejszą pozycyją w walce o byt.

Tego przywileju nikt jej odmówić nie może.

Jednak rzecz najlepsza w teoryi, może być najgorszą i najwadliwszą w zastosowaniu praktycznym, zwłaszcza kiedy jest fałszywie w zasadzie swojej pojętą.

Te myśli nasuwają się mówiąc o fanatyzmie religijnym. Hołdują mu różni ludzie i różne stany, u mężczyzn zwie się on bigoteryją, u kobiet dewocyją. Tu by można utworzyć kilka poddziałów, a raczej kilka stopniowań. Są bowiem bigoci z przekonania, są drudzy z interesu, są ostatni z braku lepszych zajęć. Toż samo da się powiedzieć o kobietach. Dajmy na to, iż ktoś długim rozmysłem doszedł do wniosku, że formy i praktyki duchowne są rzeczą dla niego najzupełniej logiczną i nieodzowną. Oddaje im się z zapałem, klęczy całemi godzinami, pości, suszy, umartwia grzeszne ciało, przytym jestto człowiek pełen zasług, cnotliwy, dobry obywatel, zasługujący na uznanie pod każdym względem.

Skoro do takich zasług chrześcijańskich, a raczej ludzkich dołącza się niewinna namiętność umartwiania, skoro praktyki i ćwiczenia duchowne, świeckim obowiązkom nie przeszkadzają, chylimy czoło przed takim człowiekiem. Przyznajemy iż parę wieków przedtym, mógłby być nawet kanonizowany, przyznajemy, że tutaj treść z formą idą ręka w rękę.

Inaczej się dzieje z fanatykami z interesu. Tutaj komedyja gra główną rolę, tu już zasług nie szukać. Sztukę udawania, egotyczne a poziome cele, umiano przybrać w sukienkę tęczową. Wilcza natura, skryła się w runo baranka, a jednak kąsać umie i szkodzić.

Ponieważ dla wszelakiego czynu, dwulico-

ŚLADY ŻYCIA.

XV.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Bigoteryja bardzo przykre sny niekiedy miewa. Otulona obłokiem niepokalania, zstępuje do znanych sobie otchłani Hadesu, a za nią w pokutniczej szacie zstępuje ludzkość cała... Posłuszne gromady słuchaczy lub czytelników spieszą na *straszne* widowisko... *jarmarczne karykatury* tak nazwanych *fałszywych proroków* mają się palić na stosie.... Mówca jaśnieje niewypowiedzianym blaskiem; wykrzywione konterfekty potępionych kurczą się w ogniu, przybierając narzucone im przez mistrza ceremonii rozmiary drobnych, złośliwych robaczków... Widowisko zaprawdę wspaniałe! — Kwarantannę takiego snu przechodzi w ostatnim swym numerze „Kronika rodzinna.” Twórca siedmiołamowego artykułu p. t. „Pozytywizm”, zgorszony widocznie, czy rozgniewany artykułem o podobnym nagłówku („Pozytywizm i pozytywiści”) w 29 numerze „Niwy,” odszadza, ten ostatni *od czci i wiary* — i, aby się tym lepiej na zaimprowizowanym tle uwydatnić, wynajduje sobie—*w braku własnej zbroi* — dwie mniej więcéj kruche podpórki, coś w rodzaju laseczek kuglarskich. Na domiar nieszczęścia oparł się na słabszym protektorze i *podobno*... upadł. *Salto mortale* było jednak bardzo stosunkowo zręczne... *Pozytywizm—to doktryna w zasadzie swej i następstwach zgubna i fałszywa*, — bo tak o nim sądzi p. Tyszyński, a *co ważniejsza* — taka jest treść bezimiennego artykułu w „Kłosach” (Nr. 397), „nierównie” jeszcze „żwawszego i bardziej (niż to, co powiedział pierwszy), gnębiącego pozytywistów naszych.” Niezliczone są zbrodnie pozytywizmu, największą zaś z nich jest *„apelacyja do mas.”* Rzucając ten *ciężki kamień potępienia*, dzielny mówca omdlał. Wypadało więc *sformułować w jak najkrótszy sposób wniosek wieńczący dzieło:* „więc pozytywizm sam się osądził.” Zasłona spada... Wyskok—to nie bardzo licujący z nieco dawniejszym spokojnym i grzecznym duchem *Kroniki.*

Dodać tu należy, że prawdziwą ozdobę dwu ostatnich (6 i 7) numerów „Kroniki rodzinnej” stanowi, obok listu A. E. Odyńca, ułamkowy obraz dramatyczny Szujskiego p. n. „Kopernik”, którego negatywna myśli przewodniej strona (Ferber), wolna poniekąd od bujnych, widniejących w całości obrazka sofizmatów, dziwnie buntowniczą i satyryczną wobec tendencyi samego pisma przyświeca barwą. Pozostałe szpalty „Kroniki” zalega mgła ciemna, a wpływające tylko na jej zgęszczenie „Urywki z listów Zygmunta Krasińskiego” są istnym szyderstwem gienijuszu poety.

* *
*

„Ognisko domowe” we wstępnych artykułach próbuje wychowywać nas i uczyć („Wychowanie i Nauczanie”). Dzięki temu

wo się prezentującego, potrzeba błyskotliwego szyldu, fanatyzm interesu chętnie szyld taki stawiał i stawia. Podaje on rękę tradycyi i działa niejako w jej imieniu, i dla niej.

Owo zespolenie wychodzi na korzyść, efekt żądany osiągnięto. Pytanie jednak czy tradycyja jest rzeczywiście tak ściśle spojona z fanatyzmem interesu czy nie. Gdyby była, nie pozostawałoby nic innego, jak naprawiać rozumnie a systematycznie te szkody, jakie związek podobny teraźniejszości przygotował. Jeżeli zaś tradycyja celowała niejako tym, iż prywatą i nietolerancyją gardziła, jeżeli dokumenta historyczne świadczą, jako interes ogółu jeżeli się z interesem kasty łączył to tylko z konieczności, w takim razie fałszywie pojmują przeszłość ci—co wręcz przeciwne jej zasadom dążności, chcą niejako gwałtem do swoich celów nagiąć i zużytkować.

Potężne stronnictwo klerykalne we Francyi, dzierżące do dziś dnia jeszcze w swym ręku wielką liczbę szkół elementarnych i wyższych nawet zakładów naukowych, spowodowało wadliwym wychowaniem fatalny brak ludzi, cnót obywatelskich i nauki. Popierane gorąco przez popleczników wpływowych i możnych, trzymało na wodzy bujny wzrost nowych elementów, tak szkodliwych wszelakiej pleśni, co egzystować pasożytnie żąda, królować żąda.

Żywioły postępowe nie potrafiły zrównoważyć zgubnego wpływu, stara rutyna zabijała wszelakie wysiłki i spowodowała ruinę. Buckle w swej „Historyi Cywilizacyi” podobny wykazuje stosunek klerykalnego żywiołu, w całym niejako szeregu angielskich dziejów. W Niemczech rok 1517 wywołał olbrzymią reformę, sto lat przedtym gorzał na stosie Hus i Hijeronim z Pragi, dwaj prorocy słowiańscy...

Kto czytał pracę Karola Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło” ten wie jaką zajmowaliśmy pozycyją w obec walki czeskich bohaterów. Głos Żyżki i Prokopa nie był echem głuchym, ale budził sympatyją niekłamaną. Podaliśmy dłoń uściśnionym wprawdzie nie tak otwarcie i śmiało jakby należało, ale podaliśmy zawsze. Otworzyliśmy bramy pobratymczym tułaczom, ich przekonania zakiełkowały u nas, jak później reforma Lutra znalazła swych zwolenników.

W roku 1552 powstał Sejm przeciwko zaprowadzonej w klasztorach Ś-tej inkwizycyi, w roku 1562 była ona zniesiona do szczętu.

A wszakże gdy Francyja wyganiała czarowników przynoszących jej wynalazek Gutenberga, pierwsza drukarnia w Europie powstała w Krakowie i kiedy?... w 1474 roku, w lat kilkanaście po próbach nadreńskich! Wszakże w złotym wieku literatury, w epoce wolności wyznań, *83* miast naszych posiadało drukarnie, sam Kraków liczył ich *czterdzieści!*

To też pisał Erazm Roterdamczyk, że ziemia nasza jest ojczyzną tych wszystkich co śmią być uczonymi; sławny Muret przyznawał jej pierwszeństwo przed ogniskiem ówczesnej cywilizacyi, przed Italiją.

Siedmiuset jedenastu pisarzy było jeszcze za Zygmunta III-go, ale niestety smutna epoka jezuickiego systemu ogłupiania umysłów zgubiła wszystko. Ciemna to karta, na krańcach kraju płonęły zgliszcza, a 1646 roku Piotr Mogiła błogosławił czynnikom smutnej reakcyi, o jeszcze smutniejszych i krwawszych skutkach.

Zatargi Jezuitów z Akademiją krakowską, kłótnie z innemi zakonami, bójki studentów którym przywodzili sami profesorowie, Alwar, Arystotelesowska fizyka, gramatyka, *syntaksis;* retoryka, oraz Tomasz z Akwinu, stały się alfą i omegą wykształcenia..... cywilizacyi.....

Już wiek 18-sty, reforma szkół Stanisława Konarskiego i konwenta pijarskie nie zdołały zapobiedz złemu. Wyrosło ono bujnie, zakorzeniło się jak chwast niewypleniony.

Na cóż silić się na więcej dowodów, i tego dosyć.

Pokazuje się stąd, że tradycyja będąca małżonką fanatyzmu ostrzega tylko jej spadkobierców, o smutnych następstwach podobnego ożenku. Tradycyja taka lepiej niż słowo wszelkie i dowód wszelki wskazuje, co z niej wybrać należy, co pominąć, co naprawić, a czego się wystrzegać...

Dzieje to szkoła przyszłych pokoleń, dzieje pojmowane i tłomaczone jak należy, nigdy idei społecznej, nie łączą z celami kasty, nie hołdują temu co zgubne.

Chlubą naszej przeszłości jest to, że fanatyzmem i nietolerancyją gardziła. Uważani za naród przodujący cywilizacyi, nie mogliśmy być innemi. To też chylimy się kornie przed złotym wiekiem wielkich myśli i wielkich czynów, bolejemy nad epoką, kiedy takich dowodów zabrakło. Świętym obowiązkiem dnia dzisiejszego szanować spuściznę przeszłości, czerpać z jej zdrojowiska pełną dłonią, chować i pielęgnować co było pięknym, szczytnym a wielkim.

Ale nie zasługą rozdmuchiwać i poruszać te zgliszcza, które dymiły tylko nie świecąc ani grzejąc. Nie zasługą odkopywać trumny miazmą zaraźliwą tchnące, bo umarłych nie wskrzesim, a siebie zabijemy rozmyślnie.

Do dziś dnia fanatyzm religijny, fatalny zabytek ciemnych chwil, gości w społeczeństwa łonie. Śledząc przebieg bieżących wypadków w ks. Poznańskiem, obserwując czyny ultramontanów Krakowskich, widząc opłakane skutki nierozumnej taktyki tamecznego duchowieństwa, obowiązkiem jest wykazać złe i nazwać je po imieniu. Organy polityczne jak „Czas” „Kuryjer poznański“ i t. d., oddane są ślepo sprawom Rzymu. Czytamy ogłoszenia o składkach na Świętopietrze, a na album Kopernika zapisuje się pięciu prenumeratorów! Konwent jezuicki wydaje potajemnie książki najgorsze szerzące zasady, zbiera składki od służących, tworzy przeróżne bractwa i kongregacyje, a na tym w najopłakańszy sposób moralność cierpi.

Służąca obowiązana donosić co się w domu państwa dzieje, staje się istotą nieprzychylną, szpiegiem domowym. W jej umysł prostaczy a ciemny wpojano zgubną zasadę, użyto ją za narzędzie śledczej kontroli.

A ileż-to scen gorszących, kiedy gawiedź uliczna, rozgrzana trunkiem, pocznie wypowiadać tajemnice swoje! Ileż z plotkarskiego języka tercyjarki, z ust czarno przybranej dewotki szkód przeróżnych wypływa dla bliźnich!

Dom opuszczony, dzieci bez opieki, dobytek zostawiany na łaskę służby. Z kazalnicy sypią się groźby... przeciw komu? Oto przeciwko tym, co chcą społeczność uszlachetnić, oświecić. Ileż gromów spadło na Muzeum techniczne, ileż razy słyszeliśmy długi szereg wywodów, jako nauka dla kobiety... to nowatorstwo, to wolteryjanizm, odszczepieństwo i zbrodnia!

Korzą się tłumy w obec idei, którą czczą i miłują, a jakichże ta ideja ma przedstawicieli...

---

pismu, wiemy już, że jest w dziejach wychowania jakiś „duch czasu.” Likurg, średniowieczny anachoreta i pedagog nowożytny spełniają kolejno posługi około tego bożyszcza,—któremu jednak, mimo danych dziejowych, hołdować bezwzględnie nie należy. Oto kwintesencyja rozdziału III-go (Nr. 12). W ostatnim numerze (13) „Ogniska” znajdujemy rozdział IV tejże rozprawy, lecz w nim rozwinięcie nagłówka pokłóciło się już nadobre z samym nagłówkiem; pod tytułem: „Wychowanie i nauczanie” niéma już wcale mowy o wychowaniu i nauczaniu i zaledwo wyrazy te znaleść gdzieś możem, przypięte do innej myśli, śród ciągu. Nr. 13 „Ogniska”, prócz powyższej rzeczy, traktuje w *jedenastu łamach*—o obrazach, znajdujących się na tutejszej wystawie sztuk pięknych, oprowadza nas po „Nowej Gwinei i sąsiednich jej archipelagach”, po „Chanacie Chiwie” etc., a w rubryce „Dom i jego potrzeby” uczy przysposabiać „wyborny placek z serem” i „sos do szynek.” Fejletonista, jak zwykle, sentymentalny.

* *

Nic słuszniejszego jak zabezpieczenie bytu na starość. Liczni pracownicy na niwie społecznej do rozmaitych dochodzą rezultatów. Jedni zyskują więcej, inni mniej — jedni dorabiają się fortuny, drudzy mimo pracy, trudów i wysileń nie są w stanie nic sobie na późne lata zaoszczędzić. Czym się to dzieje? jakie są tego przyczyny? szerokoby o tym mówić potrzeba. Błędna organizacyja stosunków społecznych, nieprawidłowość, brak uwzględnienia w życiu niektórych zasad ekonomicznych i tym podobne okoliczności byłyby podstawami odpowiedzi takiej. W tym razie jednak nie idzie nam o wykazanie przyczyn tej nieprawidłowości, lecz o złagodzenie ciężkich jej skutków. Jasno się tłomacząc, chcemy mówić o potrzebie założenia kasy emerytalnej przy świeżo powstałych instytucyjach ekonomicznych, jak: Banku Handlowym, Warszawskim Towarzystwie Ubezpieczeń od ognia, Banku Dyskontowym i Towarzystwie Wzajemnego Kredytu. Instytucyje te coraz to większe czynią obroty pieniężne, coraz to większe osiągają zyski, jednym słowem cieszą się powodzeniem. Do tych zysków i do powodzenia tego przyczyniają się mozolną swą pracą liczni współpracownicy. Otóż założyciele instytucyj o jakich mowa, nie powinni by być obojętnemi o los i przyszłość tych pracowników. Do nich należy pomyśleć, aby ten i ów, straciwszy całe lata na pracy w ich usługach, nie pozostał na starość bez chleba......

Założenie kasy emerytalnej przyszłoby z wielką łatwością za pomocą porozumienia się z sobą czterech wzmiankowanych instytucyj, lub nawet za pomocą połączenia się w stowarzyszenie z którąkolwiek z Dyrekcyj Warszawskich dróg żelaznych, gdzie takie kasy już istnieją. Gdy więc wykonanie tak zbawiennej w swych skutkach mysli nie przedstawia żadnych trudności, byleby troszkę dobrych tylko chęci, wartoby doprawdy zająć się tym szczerze.

* *

Znaną jest powszechnie uczciwa i pożyteczna działalność Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, ona to osładza los mnóstwa nieszczęśliwych, tak okrutnie upośledzonych od natury, ona oświeca ich umysł i kształci ich serca — ona uczy ich pracować, by pomimo ciężkiego kalectwa—sami dla siebie zdobywali środki do życia. Taka instytucyja jak z jednej strony godną jest wszelkiego szacunku, tak z drugiej — zamiary jej godne szczerego i energicznego poparcia.

Zarząd Instytutu powziął otóż projekt rozszerzenia swego Gmachu, celem założenia warsztatów dla swych wychowańców nieszczęśliwych. Koszta budowy wynosić mają rsr. 7,300, — a że dotąd wpłynęło z roz-

wicieli? Czy słowa Tego co za ludzkość skonał na krzyżu tak tłumaczone i głoszone być powinny?...

Fanatyzm nie wiedząc o tym, zaślepiony namiętnością, podkopuje podstawy gmachu, nie pomnąc, że go padająca budowa w proch zgnieść może. Zamiast garnąć ku sobie, zamiast słowem serdecznym, radą i przykładem kierować, zachęcać, pełną garścią rzuca ziarno zawiści, ziarno złocone powierzchu, a kryjące zatrutą treść w środku.

Dla pobudek zacofanych a wstrętnych, dla celów wręcz przeciwnych prawdzie i dobru, fanatyzm wysila się na coraz nowe środki i wyzyskuje zaufanie, dobrą wiarę, najuczciwsze chęci i wolę. Część dobrego które czyni, niknie, zobojętnia się, niszczeje, chwast przesądu spowija umysły, zabija samodzielność, tamuje postęp wszelki i wszelaką myśl śmielszą a zdrową.

Gdyby tak fałszywe pojmowanie wymagań czasu i dążeń wieku, było wynikiem nieświadomości, nie winilibyśmy przewódców wstecznego ruchu, jak nie winimy tych których prąd interesom społecznym przeciwny unosi.

Ale jeżeli przewodnicy owi, rozmyślnie wybierają kręte drogi, jeżeli każden krok na tych manowcach obliczony jest wedle swoistego rachunku, nie możemy sympatyzować z niemi, nie możemy tym więcej patrzeć obojętnie na wrogie społecznemu szczęściu zamysły.

Nie my piérwsi podnosimy głos i nie ostatni—przed nami wołano o poprawę, a słowa wychodziły z łona mistyków, z szeregów najwierniejszych sług kościoła, co życie całe nieśli najgorliwsze dla niego usługi.

Pokutnicy w ostrą włosiennicę przybrani, już w XIII wieku śmiałe pisali satyry i wytykali wady i zdrożności.

Wojny o przekonania zalały świat strugagami krwi, teroryzm inkwizycyi bawił się z życiem jak z cackiem, ofiar niewinnych na stosie nie brakło.

Szczęśliwie uniknęło nasze społeczeństwo przykrych dramatów—w rozumie, wiedzy i sumieniu, znalazło środki ochronne. Nie innych dzisiaj środków szukać należy.

Nauka i praca to dwie przeciwniczki fanatyzmu. Światła dla duchowieństwa, światła dla mas! Trzymając się tej zasady, chcemy zobojętniać szkodliwe skutki dewocyi i bigoteryi i nie wypieramy się takiej myśli. Popularyzując naukę, podając pokarm posilny a zdrowy, musimy wszczepiać w młode pokolenie zamiłowanie treści a nie formy, musimy otwierać oczy na błędy, a wykazywać co dobre i pożyteczne. Wiedza tylko i rozumny system wychowania tak domowego jak publicznego, wielka liczba wszelakich zakładów naukowych, szkół, szkółek i ochronek złemu zapobiegać może. Natenczas upornie trwająca w przesądach kasta, sama zreformować się musi, bo inaczej czeka ją brak uznania, czeka obojętność ogółu, który już na farbowanych lisach pozna się z łatwością.

Co jednak daje nam prawo wyrokowania w podobnych sprawach? Nic innego jak to, że jesteśmy jednostkami tego społeczeńwa, ktorego szczęście naszym szczęściem, któręgo przyszłość naszą przyszłością.

Stawiając tedy wybitną granicę między fanatyzmem a tradycyją oświadczamy, iż identyfikowanie tych dwu wręcz sobie przeciwnych zabytków jest najwyższą w świecie nielogicznością.

Ktoś mógłby zrobić uwagę, że walka taka nie na czasie, że ocena krytyczna obecnej chwili radzi odłożyć reformatorskie zamysły na później.

Nie myślimy też naśladować Donkichota i walczyć z wiatrakami, ale krzewiąc o ile sił stanie oświatę, już z natury rzeczy usuwać potrzeba to wszystko co pracy takiej staje na przeszkodzie. Dalecy wszelakiej krańcowości, nie burzyć ani przewracać ład społeczny, ale zapełniać jego braki, zaradzać niedostatkom chcemy.

Jeżeli zaś fanatyzm wkracza nawet w obręb nauki, jeżeli nie poprzestaje chodem kreta nurtować w gruncie długim trudem uprawnym, jeżeli zamiast oświecać tłum ciemny podburza go do opozycyi, potrzeba zdobyć się na cywilną odwagę i stanąć oko w oko, i rzeknąć czym on jest i zapytać do czego dąży.

Fanatyzm jest błędem pielęgnowanym przez część społeczeństwa i protegowanym z interesu. Ponieważ siła fanatyzmu wsteczną jest ruchom postępu, ponieważ tamuje pochód naprzód, a tylko taki pochód jest życiem, przeto wyradza się smutną konieczność starcia. A starcie takie tylko na arenie nauki może mieć miejsce.

Zmuszeni do walki wybieramy oręż zawsze potężny i skuteczny, jest nim zaś *prawda* i *wiedza*.

Nauczeni smutnym doświadczeniem, o ile obojętność i martwota sprawom ogółu szkodzą, podajemy chętnie rękę tym wszystkim, którzy oddawna żywili i żywią podobne przekonania... i pragną je popierać czynem.

Światło, tolerancyja, najwyższa moralność i dobrobyt oto ideały nasze, nie wstydzimy się tych godeł i nie odbiegniemy ich za nic w świecie. W takiej tylko atmosferze możemy żyć, a żyć chcemy... i żyć będziem.

Czy przekonania takie są błędne i szkodliwe, niech rozumna opinija ogółu sądzi.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

W téj chwili Elodyja idąc do tańca, z rączkami obciążonemi wachlarzem, chusteczką i bukietem, oddała mu z wdzięcznym ruchem kwiaty do potrzymania. Gdy wróciła na miejsce—Emanuel dość głośno mówił do księżnéj:

— Ja mam inne pojęcia—i inny ideał kobiety. Zalotność — uwłacza kobiecie—to ów brzydki robak co kryje się w łonie owocu—ale choć ten owoc, kraśniejszą nad inne ma barwę, dojrzewa wcześniéj i ludzi oko pozornym wdziękiem — wewnątrz jest zepsuty i stoczony. A któraż z kobiet salonu wolna od zalotności?.

— A! purytanin z ciebie kuzynku! zaśmiały się księżna i jéj córki. Jednak ostrożnie z ogniem!

— Oh! nadto silny puklerz osłania moje serce!

— Wystarczy przeciw pociskom, choćby najpiękniejszych oczek?—pytała księżna.

—. Przypuszczam, że pociski tylko imaginacyjne—ale w każdym razie—mojéj ochronnéj tarczy nie zdoła przebić ani kapryśna zalotność pięknéj wietrznicy—ani impertynneckie napady *arystokracików!* — rzekł wyraźnie Emanuel — nie patrząc na Elodyją i Gucia, słuchających tuż za nim rozmowy.

Potym zwrócił się, oddając bukiet z obojęt-

---

maitych darów rsr. 3,030 — jeszcze więc rsr. 4,270 nie dostaje. Podnosimy tę okoliczność w nadziei, że publiczność nasza zawsze tak chętna w niesieniu pomocy nieszczęśliwym, zechce przyłożyć rękę do urzeczywistnienia tej tak zacnej myśli. Z drobnych byle licznych ofiar zebrać można bardzo wiele!..

* * *

Każda jesień i każda wiosna czyli raczej każde *mycie okien* okupuje się u nas kilku nieszczęśliwemi wypadkami śmierci. Ofiarami bywają służące, które przy czynności podobnej stają zwykle jedną nogą na gzymsie zewnętrznym, przy podstawie okna umieszczonym—i albo w skutku oberwania się takowego — albo w skutku pochylenia się i stracenia równowagi, spadają na bruk i bardzo często tracą życie na miejscu. Jeden z takich wypadków miał miejsce w tych dniach w okolicach Żelaznej Bramy i będzie ich więcej, jeżeli oględność samych pań naszych nie zapobiegnie złemu. Wypada koniecznie zabronić wprost służbie mycia okien w podobny sposób, tym więcej, że można łatwo taką operacyją uskuteczniać w inny sposób, np. przez wyjęcie i oczyszczanie ich w kuchni.

* * *

Mimo wiosennej pogody niesprzyjającej jak wiadomo wszelkiego rodzaju poważnym posiedzeniom, odczyty są jeszcze na porządku dziennym. Zaczniemy nasze sprawozdanie od prelekcyi p. Aleksandra Świętochowskiego, który w dniu 20 Marca (1 Kwietnia) b. m. przemawiał w Sali Resursy Obywatelskiej. „O średnim wykształceniu kobiet.” Za punkt wyjścia posłużyła prelegentowi kwestyja równouprawnienia kobiet, kwestyja którą w ostatnich czasach zajmowali się wszyscy „począwszy od żaka, a skończywszy na najznakomitszych myślicielach.” W ścisłym związku z równouprawnieniem pozostaje *wyższe* wykształcenie kobiet, dlatego też przeciwnicy zupełnej i bezwarunkowéj emancypacyi oświadczają się wyraźnie przeciw ruchowi jaki się w ostatnich czasach objawił między kobietami ubiegającemi się o stopnie naukowe w wyższych specyjalnych zakładach. Zarówno ogół jak i najznakomitsi uczeni dzielą się w tej materyi na dwa obozy żarliwie swych przekonań broniące. Idąc za prelegentem nie wypowiadamy ostatniego słowa swoich w tej mierze poglądów, to jednak pewna, że wszyscy ludzie niezacieśnionych pojęć żądają dla kobiety bądź co bądź przynajmniej *średniego wykształcenia*, które właśnie zająć miało uwagę zebranych słuchaczów. Wykształcenie średnie służy przedewszystkim do ogólnego umysłowego rozwinięcia, a nadto jest ono przygotowaniem zarówno do dalszych studyjów jak i do życia praktycznego. Ale aby wykształcenie o jakim mowa odpowiedziało tym celom potrzebuje na racyjonalnej spocząć podstawie, potrzebuje być prowadzonym gruntownie i z uwzględnieniem wszystkich władz umysłowych. U nas brak takiej podstawy w wykształceniu kobiet, a pomijając w tym miejscu szczegółowe warunki których reforma przedstawia wieloliczne trudności, dość jest zaznaczyć, że cały zastęp wychowawczyń za najwyższy wyraz pedagogiki uważa wychowawczy kodeks Tańskiéj—kodeks, który mówiąc słowami p. S. był już wtedy za stary gdy się narodził. Szkoła ta lubo w najlepszej wierze i z najzacniejszemi tendencyjami, gwałci jednak prawo równowagi na korzyść uczucia nie rzadko przechodzącego w czułostkowość, ze szkodą rozumu. Zgadzając się z prelegentem co do głównej myśli, sądzimy przecież, że zbyt surowo i zbyt jaskrawo oceniał działalność Tańskiej. Zarzut odnoszący się do niedostatecznego uwzględnienia nauk przyrodzonych i społecznych, czyż nie da się zastosować i do wykształcenia mężczyzn?

* * *

ną grzecznością. Miał chęć wymknięcia się z salonu — ale widocznym było że wszystkim paniom pozawracał główki. Jest to częstym wydarzeniem w towarzystwie—że jeden młody człowiek, lub młoda kobieta, staje się bohaterem, lub królową zebrania. Wszyscy grupują się obok téj wybranéj istoty—damy—owczym popępem — (proszę mi darować wyrażenie) wciąż wybierają uprzywilejowanego młodzieńca—przesadzając się w miłych oznakach zajęcia i sympatyi. I panowie nie lepiéj postępują — cisnąc się do jednego bóstwa, co nie jest pożądanym dla ukojenia miłości własnéj innych kobiet—mierzących wybraną zawistnym okiem — i porównających ukradkiem swe wdzięki i tualetę — co naturalnie, zawsze zostawia im przekonanie, że ją przewyższają we wszystkim—i jest to tylko niepojęta omyłka!

Emanuel był przez panie chwalony, cackany, pieszczony słowem i wejrzeniem — *emablowany* znakomicie. Nie mógł wyjść niepostrzeżony. Lecz wszystko ma swój koniec—i brzask jutrzenki rywalizujący ze światłem gazu, wystraszył wkrótce gości rozbalowanych, ale i zmęczonych całonocnym tańcem lub gawędą.

Elodyja smutna i ociężała—gwałtem siliła się na słowa grzeczności—i dotrwała w obowiązkach gospodyni domu. Hrabia Władysław z nieporównaną zręcznością, równocześnie prawił słodkie frazesy starszym — miłe słówka młodym tancerkom—ściskał paluszki różowe i przyjmował serdeczności czułego wylania i wdzięczności—podpiłych ojców rodziny. Każdego zadowolnił i obdzielił—czym należało. Hrabina Ruszczyc leżąc na kanapie śledziła go z zachwytem.

— Wiesz?—rzekła do Elodyi—onby mógł zwrócić uwagę na pokojach cesarskich! To jest dopiero szyk, światowość *du dernier mieux!*

— Charmant! *épatant!*— wtórowała, Eleonora rozłożona na fotelu.

— Ale kto?—pytała Dyjola.

— Władysław! — Emanuel! — zabrzmiało fałszywe unizono, co wywołało bardzo komiczne u obydwu miny.

Ogólne zdanie było—że się bal powiódł. Mając prawo być niedyskretnemi, pójdźmy za kilkoma osobami więcéj nas interesującemi—które z uśmiechem życzyły sobie dobrego dnia i udały się na spoczynek po balu.

Elodyja, pośród fali muślinu i koronek—na swym pysznym łóżku, ze śladami łez na przybladłéj twarzyczce, śpi jak dziecko osłabione—rzucając się często na pościeli i szepcząc wyrazy bez związku.

Hrabia Władysław mizerny, wybladły—brzydki — ponury — chodzi jeszcze po pokoju — uśmiechając się gorzko — myśląc nad czymś głęboko.

Gucio owiązuje batystową chusteczką zmoczoną w wodzie kolońskiéj głowę, — a lokaj podaje mu kwiat pomarańczowy, rozumie się sparzony na herbatę, jako lekarstwo mające uśmierzyć nerwy.

Hrabianka Eleonora nie więcéj powabna w negliżu niż zazwyczaj—śpi głęboko—jak to oznajmia przeciągłe chrapanie, wydobywające się z jéj piersi.

W pysznym apartamencie, na kanapce, naprzeciw lustra — siedzi pani Ruszczyc, jeszcze nierozebrana w kostiumie à la Pompadour. Dzień przedziera się przez grube jedwabne firanki — jéj oczy szkliste, zimne—badają zwierciadło—nakoniec zasłoniła twarz rękoma — pochyliła ufryzowaną głowę—łzy palące stoczyły się z jéj oczu na ręce—i pomięszały się z wonnym pudrem, sypiącym się z włosów i twarzy.

A Emanuel?! W jego mieszkaniu okna otwarte—tchnienie poranku letniego owiewa jego czoło—on siedzi i pisze dalszy ciąg dawniéj zaczętego listu. Oto słowa kreślone pewną ręką:

„Beato moja! Kocham cię!. Dziś noc całą otaczała mię atmosfera ciężka, gorąca! Byłem na balu, zebranie było świetne—kobiety młode, piękne i zalotne. Pierwszy raz znajdowałem się na zabawie tańczącéj. Muzyka była urocza — salon pyszny—wszystkie warunki do tańca i roskoszy. Miałemże dzielić ją wraz z drugiemi? — puścić się w wir taneczny z coraz inną kobietą w objęciu—a potym pić słodki odurzający napój—aby zapomnieć o wszystkim, co nie jest teraźniejszością?.. Nie!—Ciebie tam nie było — nie tańczyłem i nie piłem wcale! Każde wzruszenie mego serca do ciebie należy—gdybyś ty była pierwszą z którą mógłbym tańczyć — potym — oboje tańczylibyśmy z innemi. Ale gdy ty spokojna śniłaś o mnie, ja nie powinienem oszałamiać się, choćby na chwilę. Dokonałem postanowienia! Beato! duszo moja! serce i ciało — rwie się do ciebie! do ciebie!..”

XII.

W kilka dni, pustki i cisza zaległy tyle ożywione salony. Goście z Warszawy odjechali—Hrabina Ruszczyc najpierw dała przykład. Później hrabia M. z Eleonorą—nakoniec Gucio i Jerzy, pojechali do znajomych w daleką okolicę, na kilka tygodni. Zwykły porządek dni, został przywrócony. A jednak można było dostrzedz małe zmiany w osobach: Władysław był chmurny i niespokojny—Elodyja—jakby rozmarzoną—Emanuel więcéj surowy i pracowity niż zazwyczaj.

Sprawa z Guciem załatwiła się krótko—przeprosił Wiśniowieckiego—i na pożegnanie serdecznie podali sobie dłonie. Władysław seryjo prosił szwagra, aby z powodu miłości swojéj, nie robił szaleństw, mogących szkodzić jemu i biednéj kobiecie. Gucio podziwiał moralność jego zasad, o czym dotąd wątpił—i nawet rzekł raz do Elodyi!

— Twój mąż jest szlachetny!

— Nie wiem!—odparła machinalnie.

Hrabina Elodyja od dnia balu prawie nie widziała Emanuela. Całe dnie spędzała na czytaniu; łagodna znów cicha, ubierała się w najskromniejsze sukienki i czesała gładko swoje złote włosy—dziwiąc tym upodobaniem męża i pannę Bertel. Często musiała wraz z hrabią Władysławem oddawać i przyjmować wizyty—lecz czyniła to niechętnie i powracała znużona, skarżąc się na uciążliwy obowiązek. Jesień się zbliżała, pogodna—użyczała ślicznych dni lubownikom natury. Liście drzew mieniąc się w kolorach żółtym i purpurowym, bogato i pięknie zdobiły je—niby oświecane blaskami słońca i zorzy. Pewnego popołudnia, Elodyja siedziała w altanie z książką w ręku. Oczy jéj błąkały się to po stronach, to goniły szare po niebie obłoczki, lub pomknęły w dal niedosięgniętą tonącą w mgle sinéj — z wyrazem tęsknoty łzawéj.

Z pałacu wyszła piastunka z dzieckiem na ręku — małą córeczką hrabiostwa — ładnym, miluchnym maleństwem, przybranym w czepeczek i kaftanik elegancki. Matka popatrzyła na nią obojętnie — piastunka i panna Bertel poszły daléj niezawołane. (*d. c. n.*)

Wydział Czytelni Akademickiéj w Krakowie, nadesłał nam sprawozdanie z czynności swoich w półroczu zimowym $1872/_3$ r. Wstęp poprzedzający cyfry brzmi przyjemniéj nieco—niż w sprawozdaniu z półrocza letniego, z którym zaznajomiliśmy już w czasie właściwym czytelników naszych. Młodzież wszechnicy krakowskiéj wzięła *trochę lepiéj* do serca losy tak blisko obchodzącéj ją instytucyi—„chociaż obojętność, na którą słusznie skarżył się wydział poprzedni nie ustąpiła jeszcze zupełnie.“ Gdyby u nas istniała taka czytelnia — o obojętności nigdyby mowy nie było! Nasza młodzież akademicka możemy to przyznać jéj z dumą—na sprawy oświaty obojętną być nie potrafi.

Biblijoteka Czytelni posiada obecnie dzieł 1376 (tomów 2126) czyli w porównaniu z półroczem poprzednim posiada więcéj dzieł 48 (tomów 64) — i rozpada się na cztery działy *a*) historyja z gieografiją i statystyką *b*) literatura i powieści *c*) nauki ścisłe i *d*) pisma zbiorowe. Oprócz tego biblijoteka posiada 78 czasopism różnéj treści, pomiędzy któremi polskich 60, ruskich 2, niemieckich 15 i 1 francuskie! Co do stanu kasy—przewyżka w rozchodzie na półrocze przyszłe pozostała, wynosi złp. 93 cen. 31.

Kuratorem Czytelni jest prof. *Dr. Zatorski.* Przewodniczącym wydziału *Teodor Pareński*—zastępcą przew: *Kazimierz Bartoszewicz*—sekretarzem *Józef Rosenblat*—*Jan Rosner* podskarbim.

* * *

Czwartkowy odczyt p. *Bogumiła Aspisa*, niegdyś redaktora naszego Opiekuna, nieliczną zgromadził publiczność w sali Resursy Obywatelskiéj. Nie będziemy się obecnie zastanawiali nad przyczyną czy też przyczynami takiego niepowodzenia utworu poetycznego, który wkraczał w sferę zawsze świeżą i zawsze ponętną—bo w sferę miłości—podajemy jedynie jego osnowę. Prelegent czytanie samego utworu (*Sulamita*) poprzedził wstępem, objaśniającym powstanie i rozwój myśli zasadniczéj, która się stała gwiazdą natchnienia poety. *Pieśń nad pieśniami* Salomona była oddawna, bo od lat 15-tu, przedmiotem rozmyślania i poetycznéj rozkoszy dla p. Aspisa. Pomknąwszy myślą w przeszłość na Wschód, pełen zawsze uroków natury i namiętnéj barwy sercowéj, chciał on odtworzyć dla dzisiejszych czytelników całe niebo i piekło uczucia, kołyszącego pierś ludzką do snu lubieżnego lub do gorączkowéj działalności. Jaki jest głos miłości, jakie są jéj falowania, jakie fazy przechodzi i na jakie wznosi wyżyny — oto jest treść utworów p. Aspisa, których punktem kulminacyjnym ma być Sulamita. Sulamita kocha Jonatana w ciszy majowego poranku i w wulkanicznym wybuchu uraganu; kocha go wyżéj nad bogactwa i zdrowie, wyżéj nad życie i śmierć. Salomon potężny w chwale i majestacie, chciał ją posiadać, użył więc wszystkich środków, ażeby ją do siebie przyciągnąć. Zagroził śmiercią Jonatana—rozwiał nadzieje Sulamity — ukorzył się przed dziewicą—napróżno! Sulamita żyła w jego pałacu czysta i niewinna aż do chwili, w któréj jadem piekielnego kwiatu o barwach turkusowych nie przecięła wątłéj nici własnego życia...—Taka jest treść poematu, który P. Aspis odczytał. W wykonaniu było mnóstwo miejsc silnych i wysoko poetycznych, w całości przebijała myśl jasna, chociaż nie natrętna. Wypowiedzenie tylko szwankowało i to właśnie w chwilach najbardziéj stanowczych, w chwilach najpotężniejszego efektu. Głos nie dopisywał, deklamacyja była prawie zawsze fałszywa. O ile więc oddawaliśmy słuszność treści poematu o tyle ubolewaliśmy nad oddaniem najzewnętrzniejszéj jego formy.

* * *

SŁÓWKO
o przesądach w medycynie,
pojęcie ogólne organizmu—Choroba i zdrowie

przez Doktora

Gustawa Dolińskiego.

(Dalszy ciąg).

Wszak czytaliście nieraz Szkice z medycyny popularnej, spotykaliście się w czasopismach już to z artykułem treści fizyjologicznej, lub psychologiczną rozprawką. Czy jednak powiedzcie otwarcie, posiadacie jasne i dokładnie określone pojęcie czym ciało ludzkie, czym organizm, czy zapytani z nienacka odpowiedzielibyście, co to jest zdrowie, co choroba? Jestem prawie pewny że nie.

Kwestyja życia zajmowała gorąco myślące umysły od wieków i dziś je również interesuje. Jest ona zagadką, może daleką od rozwiązania, może bliską, boć to zależy od szczęśliwych okoliczności, od trafu jaki zwykle w odkryciach wielką gra rolę.

Organizm pojmowano rozmaicie, bo go nie znano, dla tego też przytaczanie pojęć owych byłoby grą słów i zbiorem dziwacznych przypuszczeń i hipotez. Od lat niedawnych datuje się inny kierunek naukowych poszukiwań. Badacze, jęli dyssekować skalpelem ludzkie zwłoki, poznali anatomiczną budowę człowieka. Doświadczenia czynione na zwierzętach, dozwoliły na odkrycie przeróżnych mechanizmów i narządów, oraz czynności jakie one wykonywają, w żyjącej organizacyi. Mikroskop lat temu trzydzieści dwa, odkrył komórkę, a to odkrycie wprowadziło na zupełnie nowe drogi i nieobliczone przyniosło korzyści dla nauk przyrodzonych i medycyny.

Dziś powszechnie została przyjętą ta prawda, że organizm jest zbiorem komórek, że komórka to niejako zasadniczy element jego. Dziś wiemy o tym, iż taka komórka to niejako żyjątko małe, że to drobina protoplazmy, która porusza się, żywi, wydziela, funkcyjonuje. Dowiadujemy się również, że jak ryba w wodzie, ptak w powietrzu tak i komórka tylko w kąpieli krwi i soków organicznych, tylko w płynie przez żyjącą istotę wyrabianym egzystować może, wiemy, że ta komórka oddycha pochłaniając tlen przez czerwone ciałka krwi przyniesiony, które to ciałka również są komórkami, z właściwym przeznaczeniem.

Cóż dalej. Komórka wyradza nowe do siebie podobne twory, ginie wydając na świat młode pokolenie, komórka owa w postaci jajka i nasiennego ciałka skoro się połączy, stanowi embryjon zarodnik będący początkiem, każdej żyjącej istoty.

Z połączenia więc dwu komórek powstaje żyjąca istota. W łonie macierzyńskim, lub na zewnątrz niego postępuje ów proces dalszego rozwoju, który nauka drogą obserwacyi zbadała, ale tylko jednostronnie i niedokładnie jeszcze.

Widzimy przemiany, widzimy jak kolejno formuje się płód, ale dla czego się tak formuje nie wiemy.

Dziecię przychodząc na świat poczyna żyć samodzielnie. Już krew matki która jego drobne ciałko żywiła, nie tętni po arteryjach i żyłach, już związek który go niby latorośl z pniem drzewa macierzystego łączył, przerwany został. Odetchnęło raz jeden i drugi, płucę się wypełniły powietrzem, poruszyła klatka piersiowa, i jako wachadło raz w ruch pchnięte kołysać się będzie czas długi, tak i mechanizm organiczny dziecięcia rozpoczyna pracę swoję, pod wpływem bodźca, jaki mu świat otaczający nastręcza. Niechaj nam wolno będzie zrobić porównanie.

Oto mamy pod okiem—kółka, tryby, walce, ćwieczki i śrubki—słowem pojedyncze cząstki jakiej maszyny, Niechaj to będzie zegarek kieszonkowy. Składamy te cząstki według prawideł wskazanych, pasujemy szczelnie, złożyliśmy, zegarek gotów.

Praca ta wymagała pewnego czasu, doszliśmy do celu.

Bierzemy w rękę kluczyk, nakręcamy, i oto zegarek zaczyna iść, kręcą się kółka, poruszają skazówki, jest ruch, jest pewnego rodzaju życie w tej maszynce.

Tak samo i w ciele dziecięcia—prawo natury, prawo powszechne, własność związana z cząstką materyi, urobiła kości, stawy, muskuły, mózg i nerwy, przyrząd krążenia oddychania, trawienia. Skoro praca została, ukończona i organiczna maszynka zdolną jest do funkcyi swoich, mały bodziec, przyczyna jedna wystarcza. Życie jest zbiorem zjawisk pojedyńczych, życie jest szeregiem zmian zachodzących w elementach materyi życie jest ruchem. Zjawisko wszelkie musi mieć pewne medium, pewne otoczenie, pewne warunki konieczne, aby się przejawiło i dokonało.

Wszak promień światła rozdziela się na pojedyncze barwy wtenczas kiedy przez pryzmat przechodzi, wszak lokomotywa nie ruszy z miejsca bez wody w kotle i gorejącego w piecu węgla, wszak statek żaglowy nie popłynie po grzbiecie wód oceanu, jeżeli przyjazne wiatry nie zadmą w żagle rozpięte.

Biorę w dłoń moję garstkę pszenicy. Wiem o tym że te ziarnka, jeżeli je w grunt uprawny posieje, wypuszczą kiełek drobny, wiem także iż nad powierzchnią żyznéj niwy zieloną trawką wystrzelą, że łodyżka owa czerpać będzie pokarm z powietrza, kąpać się w słońca promieniu, poić rosą, odświeżać deszczu kroplą. Wiem także iż korzonek ukryty w ziemi, ssać będzie koleją czasu żywotne soki, niby z karmicielki łona. Ziarnko wyrosło w roślinę, ukształtowało się—już i kłos na szczycie się chwieje—już na tym kłosie kwiat się ukazał — i ziarno niedługo otoczone łuskami plewy zobaczę. Z garstki rzuconéj kilka garstek nowego ziarna mieć będę i znowu na lato przyszłe, plon zbiorę... i powtórzy się kółko czynności znajomych—wieczne kółko—dziwne, nieodgadnione.

Kroplę wody z bagniska puściłem na szkiełko i położyłem pod mikroskop. Tysiące drobnych żyjątek różnego kształtu krąży w téj kropli, porusza się, żyje. Niedojrzane gołym okiem jestestwa uwidoczniają się oku mojemu, rozpoznaję nawet pojedyncze organy, widzę przewód pokarmowy, widzę w nim pozostałości spożytéj materyi.

Na drugie szkiełko puszczam kropelkę krwi, którą po ukłuciu szpilką wycisnąłem z palca. Widzę przy powiększeniu mniejsze i większe krążki, które są ciałkami krwi—komórkami. Jedne z tych krążków tak zwane ciałka białe poruszają się, zmieniają kształt kurcząc i wydłużając się.—Podobny ruch charakteryzuje żyjątka *amebami* zwane. Więc we krwi mojéj — w tym cennym dla organizmu płynie, istnieją pojedyncze niedojrzane okiem twory, one żyją jak ja żyję—giną i odradzają się na nowo, więc we mnie co jestem maleńkim prochem w ogromie przyrody—jeszcze coś stokroć subtelniejszego — a jednak obdarzonego pewną samoistnością egzystuje.

Mało słuchaczów i mało wprawy w wymowie miał p. M. Olszewski przemawiający w dniu 22 Marca (3 Kwietnia) w sali Tow. Dob. Spieszył się widocznie składając nieledwie po dwa wyrazy na jeden. Sam przedmiot „o znaczeniu gimnastyki” opracowany był sumiennie i z praktyczną znajomością rzeczy, dowodzącą iż p. O. należy rzeczywiście do specyjalnie uzdolnionych nauczycieli gimnastyki i traktuje swój zawód poważnie.

* *

Kiedy mowa o odczytach musimy jeszcze dla porządku zanotować, że w dniu 18 (30) Marca, Członek komitetu redakcyjnego naszego pisma J. M. Kamiński miał odczyt w Petrokowie, „o nieletnich przestępcach.” Dochód z odczytu przeznaczony na korzyść Tow. osad roln. i prz. rzem. wyniósł netto około 110 rs. Celem zaznajomienia publiczności z zadaniem i wysokiemi celami Towarz., prelegent zamierza przemawiać w tej samej materyi w kilku jeszcze miastach prowincyjonalnych.

* *

Szanowny Redaktorze! Czytając od roku Wasze pismo, napotykałam przeróżne kwestyje zasługujące na uznanie, kwestyje będące potrzebą czasu. Przemawialiście także w sprawie kobiecej — powstawaliście na sentymentalność, ale jeszcze ani razu nie wypowiedzieliście zdania, jak wy pojmujecie, stanowisko kobiety w rodzinie, odnośnie do potrzeb i warunków dzisiejszych. Ciekawe śmy też bardzo usłyszeć wasze zdanie. O ile słyszałam redakcyja składa się z samych młodych.

Powiedzcie tedy wy umiarkowani postępowi — co myślicie — jakich byście np. żon sobie życzyli—jakich obywatelek?. Może byśmy potrafiły się zastosować do wymagań— i pracą wyrobić w sobie — żądane zalety. O przyjacielską radę upraszamy. Obecny ustrój społeczny, przyjaźni kobiety z mężczyzną nie przypuszcza—przyjaźń płci pięknej z brzydką — zakrawa zaraz na miłość, lub dające dużo do myślenia stosuneczki.

Radźmy sobie jawnie — kiedy poufnie nie można.

Czy też mój głos nie będzie głosem wołającego na puszczy zobaczę... zostaje z szacunkiem. i t. d. *Jadwiga* ***

* * *

P. S. Pozwólcie Szanowni Panowie — mnie staremu zrobić uwag parę. Autorka poprzednich kilkunastu wierszy — jest moją wnuczką.

Pali się w głowinie gwałtu rety! Na miły Bóg nie palnijcie coś krańcowego w odpowiedzi. nie dorzucajcie smolnych szczap do ognia — Mnie tam nie sądzić — ja stary już schodzę z pola, po waszemu myśleć nie umiem.

Ale kocham Was i wierzę Wam—rachuję na Was.— Będziecie kiedyś głowami rodzin pokażcie jak rodzinę pojmujecie.

Zawsze szczerze życzliwy.

Milocin dnia 24 Marca. *Marcin Z.*

* *

Pomieszczając list wnuczki i dziadunia, nadmieniamy, że wkrótce w szeregu odpowiednich artykułów przedstawimy zapatrywania się nasze na kobietę, jako narzeczoną, —żonę i matkę. Zapewniamy też troskliwego dziadunia, że nie zdradzimy zaufania — chociaż kto wie czy za to nie ściągniemy na siebie gniewu jego wnuczki i innych z płci pięknej czytelniczek naszych.

* *

Na ostatnim odczycie dla rzemieślników, pana Dziewulskiego: „O fizycznych własnościach powietrza” było osób 800.— O następnym odczycie podaną zostanie w pismach wiadomość—w przyszłą bowiem Wielką-Niedzielę prelekcyi nie będzie.

Z jakiejkolwiek części ciała człowieka lub zwierzęcia wziąłbym skrawek cieniutki pod szkło mikroskopu, wszędzie znajdę komórki różnego kształtu—połączone, spojone z sobą splecione, utkane. Więc z komórek tych są uformowane tkanki—tkanki to treść każdego pojedynczego członka. Raz one są pokładem złożonym z komórek symetrycznie do siebie przystających i brzegami z sobą połączonych, drugi raz znajduje się pomiędzy niemi substancyja międzykomórkowa, która je spaja, łączy—w całość pewną jednoczy.

Jako z pojedynczych nitek bawełny, lnu, lub jedwabiu — ręka tkacza wyrabia płótno, pyszną materyją, aksamit i tak dalej — tak dłoń nieznanéj dotąd potęgi, formuje zawiły mechanizm istot żyjących.

Nie dociekajmy tego i nie starajmy się drogą nieuzasadnionych przypuszczeń tłómaczyć, czego nauka nie zbadała jeszcze— przed nami człowiek—istota z krwi i ciała...

On jakoby skomplikowana maszynka, puszczona w ruch przedstawia się zmysłom naszym — badajmyż go o ile można. Przykładam ucho do lewéj strony piersi, słyszę tony serca rytmicznie następujące jeden po drugim. Biorę za puls czuję uderzenia, wskazałem ręką przedmiot oddalony, dojrzał go — zapytałem, usłyszał i odpowiedział. Co więcéj, kawałek cukru posmakowawszy, nazwał słodkim, sól słoną, pieprz gorzkim, dotknął żelaza, rzekł że twarde i zimne, dotknął ręki méj — ciepłą i miękką mu się wydała, powąchał podaną flaszeczkę pachnidła i zatrzymał ją długo—powąchał amonijak i odepchnął go w téj chwili.

Człowiek ów ze smakiem zjadł przyrządzoną przekąskę, póżniéj wyszedł razem ze mną na przechadzkę — biegał po górach i zmęczony ułożył się na chwilę do drzymki. Zostawmy go uśpionym—i chodźmy do naukowéj pracowni. W kącie stoi skielet ludzki, powiązany drutem. F gura nieciekawa—istna śmierć w zapasach z Herodem. Jednak przypatrując się jéj kształtom, toć gdyby ją tak czym oblepić, ogładzić, byłoby podobieństwo ludzkiego ciała. Jestto niejako rusztowanie silne i stałe. Składa się ono z dłuższych i krótszych, grubszych i cieńszych kości i kostek połączonych z sobą, połączenia owe są uformowane w ten sposób że się poruszać mogą niby zawiaski. Są to tak zwane *stawy*.

Gdyby np. ręka nie składała się z tylu pojedynczych kości i kosteczek, tobyśmy jéj w łokciu nie zgięli, w ramieniu nie poruszyli, a cóż dopiero mówić o palcach, które przecież grają na fortepianie, harfie, które rysują tak pięknie a nawet piszą niniejszy artykuł.

Toż samo działoby się z nogą — toż samo z kolumną kręgową, na której odrachowałem wyraźnie 24 kręgów niby obrączki na sobie ułożonych.

Odstawiam na bok skielet — i biorę model wyrobiony z wosku. Jestto również przerażająca oczy twoje szanowny czytelniku kreatura, przedstawia on człowieka, z którego skóra zdjęta i muskuły wszystkie widać jak na dłoni. Odkładam część po części—odpinam haczyki i widzę że te muskuły przyczepiają się do kości—i to w ten sposób, że jednym końcem np. do kości ramieniowéj, drugim do przedramieniowéj i t. p.

Fizyologja powiada mi że mięsień się kurczy, a tym samym skraca. Skracając się przybliża jedną kość do drugiéj, a ponieważ one w połączeniu mają rodzaj zawiaski więc się składają w ten sposób, jak dwie nóżki cyrkla kiedy je palcami przycisnę.

Ręka pod wpływem skurczu mięśni, zgina się w łokciu—takim samym sposobem porusza się palec a ponieważ i z tyłu i z przodu i z boków kość jest muskułami otoczona, stąd i ręka i noga mogą się poruszać naprzód, w tył, na wewnątrz, na zewnątrz i tak dalej. Zauważyłem dalej, że ów pokład muskułów ułożył się w ten sposób, iż pokrył wszystkie kości mniéj więcéj i gdyby tylko obciągnąć to skórą, toby już kształty ciałoskładu były zupełne. (*d. c. n.*)

MICKIEWICZ,

przyjaciele jego i znajomi.

(Z korespondencyi wieszcza wydanej przez jego dzieci, r. 1870—1872.—2 tomy).

(Dokończenie.)

Pług, warsztat, motyka i rydel — są to higieniczne środki skuteczniej działające przeciwko gorączkowym miazmom naszego mózgu i ciała, niż wszelkie kąpiele w Ostendzie lub pirenejskie z osłami zabawki. Sniedziejące, skurczone, czterema ścianami objęte i tytoniowym dymem zapełnione *karyjery*, ku jakim młodzież wzdychać zwykła, dobijając się o kancelaryjne, literackie lub naukowe zajęcia—przy takich zwłaszcza antecedensach, na jakich spełzł hulaszczy żywot rodziców naszych nie dalekoby nas zawiodły. Spojrzawszy po sobie....: i któż z nas pięćdziesiątki dociągnie?—Skarłowaciałe zaś dzieci nasze, czymże podtrzymają tę walkę życia, która tylko dla zdrowych ciałem i duszą uśmiechać się może, jeżeli nie zawsze zwycięstwem to choć samozachowaniem.

Wróćmyż do Zana. „Mieszkam—pisze 12 Grudnia 1828—nad Uskałykiem od Maja aż do teraźniejszego miesiąca, doskonale zdrowy. Czas wolny od Piotrusia przepędzam wśród gór, na łonie roślin mnie znajomych i poznawanych, między żyjątkami, które je zaludniają. Czułość moja stalsze w nich nachodziła utwierdzenia, a umysł na skrzydłach prawdy wzlatywał na przestrzenie bez granic, lub nad drobną unosił się ziemią. Żaden człowiek, żadna przyjaźń, żaden kraj, żadne uprzedzenie nie obciążało jego lotu. Nigdzie wałów, nigdzie ścian, nigdzie świadków... Czarnobrody ze strzelbą w gąszczy lasku, straszyłem mimowolnie dzieci; dałem początek powieściom o marze nad mogiłami siedzącej, o Diwie pod mostem lub na drodze różnie pomagającym przygodzie podróżnego lub włóczęgi baszkira. Ani słota, ani chłód, ani żadna przemiana powietrza, żadne zawady nie przeszkadzały moim wycieczkom. Zmordowanemu, przyjemnie było usiąść; czytałem z zajęciem i swobodą umysłu... Ale oto od dwu tygodni jak jestem w mieście —a już mię choroba i nudy się czepiają. Szczególniej żal mi świata zwierzęcego. Żuki znajdowałem u źródeł. Różne ptaszyny zbliżały się do wsi; rozmawiałem z nimi; miły im widok człowieka spokojnego. Kilka ich rodzajów takim sposobem poznałem... Wreszcie, na niczym mi nie zbywa. Ciołkowski był tak grzeczny, że będąc przytomny wówczas, kiedym kupował sukno na majtki, dokupił na płaszcz i surdut!".

Inni wschodni przyjaciele Mickiewicza mniej lub więcej szerokie życie prowadzili. *Korespondencyja* nie ma ani jednego listu od sławnego oryjentalisty Józefa Kowalewskiego. Dużo jednak o nim pisze Feliks Kołakowski w liście z Kazania, dnia 23 Lipca 1828 roku. Przytacza ustęp z pisma wyprawionego przez Józefa z Tobolska. „Jużem doniósł—powiada Kołakowski, że Józef (Kowalewski) przedsiewzięcie to (podróż do Syberyi) uczynił w celu nauczenia się po mongolsku i mandżursku. Na tej podróży ma przebyć lat cztery, po których upływie powróci do Kazania na katedrę zwyczajnego profesora. Rocznej pensyi ma 1000 rubli, na książki co rok drugie tyle, jednorazowie otrzymał w Kazaniu rs. 500. Jeżeli mu Bóg zdrowia użyczy, nie będzie dla nas i dla niego najmniejszej szkody—owszem cześć i uwielbienie, jak mawiał czcigodny ksiądz Nosewicz.

Kowalewskiego opis przez Ural, objęty listem Kołakowskiego, ciekawy. „Przejazd przez góry Uralskie—mówi nasz oryjentalista —stawi przed oczy obrazy prawdziwie górne, nie podobne do opisania. Natura, dzika natura wskazuje tu wszystkie swoje powaby. Ze 30 wiorst, w czasie najpiękniejszego poranku, od godziny 2 rannej począwszy, pieszo wędrowałem; zachwycałem się najroskoszniejszemi widokami. Czułem nadzwyczajny jakiś entuzyjazm, którym uniesiony, nie umiałem liczyć przestrzeni miejsca. Powózka nasza toczyła się po spadzistości Urala i po parowach prawie stu wiorst. Na najwyższej górze otarłem z butów pyłek europejski. Żegnam was! ja w Azyi; prawdziwy Azyjata! Nowe jakieś powietrze mię owionęło; już nie oddycham waszym kazańskim; słońce twarz mi spaliło; już jestem podobny do Mongoła. Policzki moje pełne, jakby sadłem wypchane. Tyję i tyję jak próżniak. Jedna tylko myśl ubija mię, żem się od was oderwał. Nie wiem z kim się podzielić radością i smutkiem."

Kołakowski w tymże liście (jedynym od niego w zbiorze) podaje Mickiewiczowi wiadomość o Hilarym Łukaszewskim i Józefie Łozińskim. „Nasz stary Stryj biedak (Łukazewski), na wakacyje do najukochańszej zasterował Ufy i tam w miłym nurza się uśpieniu... Gościł tu u mnie Wiatczanin, niegdyś pod imieniem Szeroka, świat zadziwiający (Łoziński), dziś nieco zwężony i niewiadomo przez jakie czary stroniący od *poloskatelnej*. Ledwo w półtrzecia tygodnia zdołał parę butelek Jamajskiego osuszyć. Zdziwiła mię ta przemiana... *Sic transit gloria mundi*; tak znika jego szerokość. Na dniu oto wczorajszym zebrał się i ze stałością niezgiętą opuścił mnie i Kazań, lubo mu wiernie kuchmistrzowałem i punktualnie dostarczałem *extracti losiniani*. Ma bowiem poruczenie obejrzeć jeszcze dwie powiatowe szkoły w gubernii Wiackiej, po drodze mu będące".

Z wyjazdem Adama na Zachód — zamilkł Wschód grobowo. Dopiero w r. 1835 i 1836 dwa listy Józefa Jeżowskiego podają o przyjaciołach wieszcza summaryczną i suchą wiadomość. „Onufry (Pietraszkiewicz) był czas niejaki w Tobolsku—pisze Jeżowski—gdzie mu znośne przynajmniej było życie; odczasu jak się posunął dalej, żadne stamtąd nie doszły wiadomości. Tomasz (Zan) po dawnemu w Orenburgu, gdzie mu się nienajgorzej wiedzie. Budrys (Jerzy Budrewicz) i Janek (Czeczot) byli w Twerze; działo się im różnie, i bardzo źle i nie bardzo".—

W liście późniejszym (7 Czerwca 1836 r.) Jeżowski dodaje: „Janek (Czeczot) znajduje się na Białej Rusi w służbie rządowej; lepiej się mu nieco powodzi niż dawniej bywało; doświadcza jednak niedostatku, nudy i tęsknoty. Napisał wiele pięknych piosenek. Inni na dawnych miejscach i w dawniejszym znajdują się położeniu".

O samym sobie Jeżowski mało i nie wyraźnie pisze. „Byłem — powiada — stopniami trapiony, osłabiony. Później wpadłem w ciężką chorobę. Nie mogłem przyjść zupełnie do siebie dla rozmaitych przykrości i przygód, od których szukałem schronienia w zaciszu wiejskim, na łonie przyjaciół i rodziny. Ale jeżeli ciało ciągle ulegało cierpieniom, myśl krzepiła się, skupiała. Im bardziej nas czas i miejsce oddzielały, tym więcej nasze zbliżały się myśli. Gdy czytałem niektóre kawałki twoje, zdawało się że z duszy i z pod mojego wyszły pióra... Z dzieł twoich, zdaje mi się że wszystkie dotąd drukowane czytałem. Ostatnim był *Tadeusz*. W jednym spotkaliśmy się myślą; to mię tylko zadziwia, że pismo rzeczone z twoim nie-

zgadza się listem; tam wiara, tu nieufność; tam otucha, tu rozpacz; możnaby rzec, że to dzieło, gdy je pisałeś, nie było filozofiją, ale poezyją, nie było dziełem przekonania, ale sztuki".

Nareszcie, we wspomnianym liście Malewskiego (18 Października 1843), taką znajdujemy wzmiankę: „O Janku (Czeczocie) dawno nic nie wiemy. Gościł on długo w Szczorsach, a teraz przyjął służbę w dobrach Wittgensteina, poradziwiłłowskich. Wydał nowy poszyt pieśni. Widział go Tomasz (Zan), *ale się z sobą nie zrozumieli*".

Z listów zaś Adama do przyjaciół zachodnich, np: do Domeyki w Coquimbo (Chili), same tylko napomnienia zaznaczamy. 14 Czerwca 1838 pisze Mickiewicz: „W Tygodniku petersburgskim stoi, że wyszły z druku w Wilnie pieśni gminne litewskie tłumaczone na polski przez Jana Czeczota. Tygodnik nazywa to tłumaczenie mistrzowskim". 3 Marca 1841 Adam danosi swemu bratu Franciszkowi w Łukowie: „Stefan Zan często tu choruje. Brat jego Tomasz mieszka teraz w Petersburgu". 7 Maja tegoż roku do Domeyjki: „Budrys (Budrewicz) zaawansował nie wiem tam na kogoś".

Stosunki wileńskich przyjaciół kończą się w *korespondencyi* Adama Mickiewicza listem prawdziwie tragicznym. Pochodzi on od wieszcza, a zaadresowany do Tomasza Zana w Wilnie, z datą 2 Września 1855 r. Pisany więc był na trzy niespełna miesiące przed zgonem poety... I rzecz szczególna!—pisany właśnie do nieżyjącego już przyjaciela. Wydawcy korespondencyi taki przy tym liście dają przypisek: „List ten nie odesłano do Wilna, bo Tomasz Zan już nie żył, zgasł bowiem 7 Lipca 1855 r., pięć miesięcy przed Adamem, do którego wieść o tej stracie, w tej epoce utrudnionych komunikacyi, nie miała czasu dojść, czego dowodem wyciąg następujący z listu Pani Zanowej do Stefana Zana pisanego 15 Października 1856. „Od daty zejścia Tomasza naszego, nie znalazłem sposobności skomunikowania się z tobą, ukochany bracie, a miałam zamiar zaraz cię uwiadomić o bolesnej stracie".

List ów Mickiewicza do Zana tym jest jeszcze dziwniejszy, cudowniejszy rzecby można, że w nim wieszcz mówi o śmierci jakiegoś Janka (Czeczot umarł 1847 r.). Oto są wyjątki:

Korzystając z okoliczności rzadko się zdarzającej, donoszę tobie, wielce szanowny i kochany panie, żem zdrów i rodzina moja liczna, ma się dobrze. Radbym szeroko rozpisać się i o sobie i o moich... Stefan *Basiński* (Zan, przezwany Basińskim, że dobrze gra na basetli) jest tu z nami i często mnie odwiedza. Naturalnie, że wiele o tobie mówimy... Wiadomość o śmierci *Janka* możesz pojąć że mnie na wskroś przeszyła. Właśnie około tego czasu kiedy żyć przestał, często bardzo śniło mi się o nim, a zawsze w jeden sposób: zawsze zdawało mi się, że on przybył do miasteczka, gdzie teraz osiadłem i że mnie szuka... Ja znowu, zdawało mi się, że zapomniałem wynaleść tego mieszkania i sam siebie obwiniałem o takie niedbalstwo. Sen ten powtórzył się kikanaście razy, aż doszła wiadomość o jego zgonie; i on ostatni raz pokazał się jak gdyby zapraszając mnie do siebie. Bądź zdrów, żonę twoję pozdrów odemnie".

Ostatni to prawie list Adama. W parę miesięcy po jego napisaniu — połączył się z Jankiem i Tomaszem! *Bazyli Viebiast.*

WYBÓR KSIĄŻEK DLA DZIECI.

Dozór nad tym, co wychowaniec czyta, umiejętne zużytkowanie wpływu wywieranego nań przez rzecz przeczytaną i w ogóle baczność, aby lektura była w bezpośrednim związku z ogólnym planem wychowania —jest obowiązkiem wychowującego. Powinien więc on kierować czytaniem swego wychowańca. Nie na tym atoli zasadza się ów obowiązek, żeby dawać dzieciom do czytania książki, nie wywierające na nie złego wpływu, lecz aby wybór w ścisłym był związku *z wymaganiami pedagogiki* przygotowywał je stopniowo do życia społecznego, gdyż czytanie książki tylko *nieszkodliwéj* nie przynosząc pożytku—już tym samym szkodę przynosi. Należy tedy być w wyborze bardzo przezornym i ograniczać się na klasycznych utworach, pamiętając że najlepszą jest rzeczą, przysposobić młodzież jak najprędzéj, do czytania z korzyścią tych dzieł w oryginale. Nie trzeba bardzo obawiać się, jak to zazwyczaj ma miejsce, że dziecko napotka tu sceny miłosne, gdyż uznanéj powagi pedagogowie, jak Nimejer i Beneke, uważają za możliwe, dawać wychowańcom do czytania dobre romanse; Herbert nie znalazł nic lepszego dla swego podrastającego wychowańca, jak utwory Ifflanda. Utwory Küchnera, Steffensa, Walter-Skotta i t. p. powinny znajdować się w każdéj, przeznaczonéj dla uczniów, biblijotece. W nauczycielu, który ma obowiązek wybierania książek dla dzieci, niezbędnym warunkiem przy pedagogicznym takcie, jest sumienność: nie powinien on dawać do rąk uczniowi żadnéj książki, poprzednio przez siebie nie przeczytanéj i nie uznanéj za dobrą.

Drugim warunkiem, gwarantującym korzyść jest, przy odpowiednim wyborze utworów, *mądre umiarkowanie w czytaniu.* Czytanie wymaga zachowania równowagi odnośnie do innych stron umysłowéj działalności, aby mogło sprzyjać i pomagać rozwojowi mądréj w wychowańcu samodzielności—niepomiarkowanéj zaś żądzy czytania, przechodzącéj w *maniję*, należy energicznie zapobiegać. Czytanie nie powinno nigdy przeszkadzać dzieciom w wypełnieniu szkolnych obowiązków, lub nabraniu zamiłowania ku poważnym i systematycznym zajęciom. Również przestrzegać należy, aby czytanie nie powstrzymywało fizycznego rozwoju dziecka, odrywając go od właściwych jego wiekowi i koniecznych dla zdrowia rozrywek na otwartym powietrzu. Nakoniec trzeba ograniczać czytanie w interesie samego czytania. Jezeli bowiem wybieramy dla dzieci utwory prawdziwą korzyść przynieść mogące, to samo przez się wypada, że pomiędzy przeczytaniem jednego, a rozpoczęciem drugiego, potrzebną jest przerwa, aby treść przeczytanego przyswojoną być mogła, aby nareszcie nauczyciel mógł się przekonać, czy uczeń czytał *uważnie* i czy zrozumiał rzecz przeczytaną.

Przy wyborze książek dla dzieci, należy baczną na wiek ich zwracać uwagę. P. Rousseau uważający czytanie w ogóle za szkodliwe zajęcie dla małych dzieci, swojego Emila pozostawia do lat 12, w zupełnéj nieświadomości co to jest książka. Inni pedagogowie, jak np. Raumer, Schleiermacher, wychodząc z odmiennéj zupełnie zasady, żalą się również na niewłaściwość przyzwyczajania dzieci do czytania zawcześnie. Jak trudno jest o utwór odpowiedni dla małych dzieci, łatwo sądzić z licznych a zawsze płonnych usiłowań pisania, książek dla nich, tak pod względem treści jak i stylu. Jedno jest tylko właściwym i zrozumiałym, dla tego szczęśliwego wieku—to jest ustne opowiadanie matki. Ponieważ jednak zwyczaj karmienia książkami nawet małych dzieci, zapuścił korzenie u nas zbyt głęboko, to przynajmniéj chcąc jako tako zaradzić złemu potrzeba zachować w wysokim stopniu ostrożne umiarkowanie—przedłużać jak można najbardziéj odstępy, między ukończeniem jednéj, a rozpoczęciem nowéj historyi. W wiośnie życia, wrażenia wkorzeniają się głębiéj, niż kiedykolwiek potym i łatwo można nabrać szkodliwego nałogu—czytania książek w nadmiarze. Im bardziéj wiek dziecka zbliża się do dojrzałego, tym łatwiejszym staje się wybór książek dla niego. Przy wyborze książek koniecznie na *indywidualność* wychowańca zwracać należy uwagę. Dziś czytanie, gra w wychowaniu rolę tak ważną, że powinno być w bezpośrednim związku z innemi pedagogicznemi czynnikami, podtrzymywać je i podnosić ich wpływ, a czasem gdy tego zajdzie wyraźna potrzeba nawet wpływy te—osłabiać. Dzieci z *pedantycznemi skłonnościami,* czytanie powinno rozweselać i ożywiać po ukończeniu szkolnych zajęć; *leniwe* i w ogóle nie mające wielkiéj chęci do nauki—zachęcać do pracy, przedstawiając naukowy materyjał w ponętnéj i bardzo zajmującéj formie. Jeżeli młodzieniec ma pociąg do umiejętności w pewnym oznaczonym kierunku, to wyłączne czytanie tego rodzaju utworów podniesie w nim go jeszcze; jednostronność więc w tym wypadku jako szkodliwą należy zrównoważyć za pośrednictwem uniwersalności utworów, dawanych do czytania. Skłonności do szafowania siłami mózgu, nieumiejętności skoncentrowania myśli, trzeba przeciwstawić czytanie utworów, których przymiotem jest ścisłość rozumowania i lakoniczność stylu. Dla temperamentów drażliwych pożyteczne są książki pisane ze spokojem, których treść nie zawiera scen mogących denerwować i rozdrażniać wyobraźnię. Gdy w dziecku spostrzegać się daje zbyt wielka chęć do czytania książek, wypada ją miarkować wzbudzającemi interes praktycznemi zajęciami; w przeciwnym zaś wypadku, t. j. w razie dostrzeżenia wstrętu do książek, co zresztą zdarza się bardzo rzadko,—można go łatwo przezwyciężać, książkami lekko, lecz zarazem zajmująco pisanemi. Jeżeli podobny wstręt pochodzi z przesytu, nie należy przymuszać dziecka do czytania—owszem, jak najdłużéj wstrzymywać, a dostrzeżemy wkrótce budzące się dawne do książek zamiłowanie. Nakoniec warunki, w jakich *żyje dziecko,* przy wyborze dla niego książek mają swoje znaczenie. Wychowujące się wśród zgiełku miasta—zaznajamiać trzeba z cichym i spokojnym życiem na wsi, dziecko zaś wiejskie—z gwarem miejskim. Dodać jeszcze tu wypada, że podawanie dzieciom do czytania książek, pisanych dla osób dorosłych—co często się zdarza—jest prawie zawsze rzeczą bardzo szkodliwą. Książki te bowiem, nieraz są pisane z celem pobudzenia w dorosłych zwierzęcych popędów, i działają na dzieci tym szkodliwiéj, że one czytują zazwyczaj z większym aniżeli starsi przejęciem.

Na warunki tu określone, tym baczniejszą zwracać należy uwagę, że dziecinna społeczna literatura posiada bardzo wiele usterek, że większość jéj utworów zupełnie nie odpowiada pedagogicznym celom, że często sam duch spekulacyi był ich inicyjatywą, że nakoniec tylko konieczne ostrożności zachowując—możemy znaczenie czytania jako środka wychowawczego podnieść i za jego pośrednictwem dojść do pożądanego celu.

Dzieci ukończywszy szkolne zajęcia—odrobiwszy zadane lekcyje — najczęściéj nie umiejąc w inny sposób zużytkować czasu, znowu biorą książkę do ręki choćby nie nakowéj treści, lecz w każdym razie przykuwającą je do miejsca i sprawiającą ciągłą jednostronną działalność w jego organizmie — t. j. działalność umysłową. Skutkiem tego słabnie rozwój fizyczny, a następnie i psychiczny. Ostatniemi czasy pedagogika zwróciła uwagę na to zło i w osobie Froebla podała zaradcze środki: zimą *niektóre rzemiosła* w odpowiedni zmodyfikowane sposób, a latem *zabawy* na świeżym powietrzu. Są to zajęcia

dla dzieci daleko pożyteczniejsze niż czytanie książki. *(d. n.)*

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kraków, dnia 29 Marca.

Chcąc pisać do waszego Opiekuna z Krakowa, trzeba się dobrze zastanowić co pisać? Nowin ćma, kwestyj bieżących co niemiara, nasze tu miejscowe kroniki i feljetony przepełnione najrozmaitszej treści szczegółami i szczegółkami są porywane, czytane, a dla was, uderzywszy się w piersi, wyznać musimy nie ma ani jednej nowinki, któraby na seryjo zainteresować umiała. Niechcę wam przeto dowodzić wyższości nad nami moralnej, naukowej, a choćby pozytywnej—chcę tylko powiedzieć, że w ostatnich czasach nie wyszła u nas ani jedna dobra książka, że nic nowego na scenie i że znakomitości nasze koncertowe niesięgają za obręb rogatek Mogilskich, a mało są znane nawet na Podgórzu. Co zaś najgorsza, to to że nie umarł żaden nowy Pol, nawet żaden książe ani hrabia, o którymby można pisać i pisać bez końca! Umierają sobie pocichu jacyś tam marszałkowie przyjezdni, czy *napływowi* jak tu nazywają, ale któżby tam o nich pisał! Ostatnia ta okoliczność staje na drodze nietylko nam korespondentom ale nawet „Czasowi“, który w braku żywotniejszych dla siebie kwestyj (czytaj, sążnistych nekrologów dla jaśniewielmożnych panów) ogłasza pamiętnik niejakiego nieboszczyka Wodzickiego.

Ale wracając do rzeczy—cóż was to obchodzić może, że nasz Dr Dietl, prezes naszego grodu — abdykował. Ot, ten taki abdykował i basta! Dla was to może rzecz naturalna, ale nie dla nas. Abdykować z 5 tys. guldenów na rok pensyi, (których jednakże on ani ruszył, oddając całkowicie na kancelaryją) z godności pierwszego dygnitarza w naszym grodzie, toż chyba trzeba być waryjatem! A jednakże Dr. Dietl innych leczy od waryjacyi, a sam zdrów na ciele i przytomny na umyśle najzupełnej. Abdykując Dr. Dietl zapowiedział że chce resztki żywota poświęcić nauce. A trzeba wam wiedzieć że Dr Dietl jest dyrektorem 3-go wydziału (t. j. nauk przyrodzonych i lekarskich) Akademii umiejętności, jest medykiem głośnej europejskiej sławy jest parem Austryi i t. d. Jako prezesa Krakowa zakres działalności jego był bardzo szeroki, on to wyrobił półtora miljonową pożyczkę, zaprojektował wiele ulepszeń w mieście i przekonał się wreszcie, że z ojcami miasta trudna rada, więc kiedy jeden z najulubieńszych projektów, urządzenie wodociągów w mieście niezbędnie potrzebnych, niezostał uchwalonym, rozsierdził się — i abdykował. A tu gwałtu co się dzieje! Bez przesady można by cały tomik (w rodzaju waszych dodatków) napisać na temat tej abdykacyi. Cóż chcecie, ileż to namiętności, ile to zawiści etc, etc. wyłazi na wierzch przy tej okoliczności. Wymienię wam tylko godniejszych kandydatów jak Dr. Weygiel, poseł Chrzanowski, poseł-adwokat Żyblikiewicz i wreszcie senator Hoszowski, prezes tow. dobroczynności i znany numizmatyk. W bliskiej przyszłości z tego powodu okropne rzeczy dziać się będą — opowiem wam o tym kiedyś.

Mieliśmy tu niedawno cały tydzień słusznie przezwany *Tadeuszowym*, bo też *pan Tadeusz* (Mickiewicza) bombardował nas z dwu stron—najzacniejsza z pań tutejszych, dobroczynna, przyjaciołka i protektorka sztuk i literatury, księżna Marcelina Czartoryjska z domu ks. Radziwiłłówna w teatrze miejskim urządziła (na cel dobroczynny) *żywe obrazy*, do których treścią właśnie pan Tadeusz służył. Cała arystokracyja należała do tych obrazów, nad ułożeniem zaś i grupowaniem pracowali Kossak znany malarz— i reżyser sceny tutejszej Rychter. Niektóre obrazy były prześliczne! Nieudał się tylko sam p. Tadeusz. Za to Zosia była prześliczną. Kostjumy bogate i świeże. Żywe obrazy zakończył polonez. Obrazy te dzień po dzień były powtarzane trzy razy, a teatr zawsze był przepełniony. Jednocześnie a przynajmniej w tym samym tygodniu profesor hr. Tarnowski w sali akademickiej miał aż cztery odczyty o Panu Tadeuszu. Pojmujemy jeden odczyt — cztery — to może zawiele. Ale szczęśliwy hrabia! zawsze i wszędzie ma powodzenie.

Akademija umiejętności już żyje i działa. Każdy z wydziałów odbywa regularnie posiedzenie. Dotąd utworzono komisyje akademickie i historyczną i biblijograficzną. Przewodniczącym w pierwszej jest profesor Dr Walewski, w drugiej Dr. Estrejcher. Członków zagranicznych jeszcze nieobrano.

Obraz Matejki wyobrażający Kopernika, o którym już pisałem—chcą zakupić ze składek publicznych i ofiarować uniwerstytowi Jagiellońskiemu na pamiątkę jubileuszu kopernikowskiego. Cena dwanaście tysięcy guldenów. Zapewne że dar to wspaniały i dla uniwersytetu pamiątka droga—ale czyż ten tam cel, t. j. uczczenie pamięci Kopernika niebyłby osiągnięty, gdyby tę summę użyto na utworzenie stypendyjów imienia Kopernika przy tym samym uniwersytecie. Matejko żadnych łask niepotrzebuje, bo za ten sam obraz dziś mu dają nie 12, ale 15 tysięcy zagranicą, nie podzielamy zaś myśli, ażeby obrazy naszego znakomitego mistrza niemiały wychodzić z kraju. Przeciwnie tym większa dla nas chluba, jeżeli i zagranicą cześć jego jeniuszowi oddawać będą.

Wspomniałem w ostatnim liście, że prezes akademii Dr. Majer i były rektor uniwersytetu prof. Dr Józef Kremer w dzień obchodu jubileuszowego otrzymali od cesarza austryjackiego ordery. Otóż koledzy i przyjaciele chcąc uczcić zasłużonych mężów, dali im wspaniały obiad, podczas którego ma się rozumieć było mów bez liku, ale najdonioślejszą, pełną werwy i uczucia była mowa starego Kremera. Piękna też była mowa prof. Dunajewskiego, podnosząca zasługi prezesa Majera.



O samopomocy w kształceniu się— przez *Jana Jeleńskiego*. Warszawa 1873 r. 8° 118 str. *Cena kop. 50.*

Mimo dość jeszcze powszechnej apatyi i umysłowego zacofania, z dniem każdym mnoży się liczba jednostek, które czując potrzebę światła gorąco pragną nauki. Lecz jednostki te bardzo często pozbawione materyjalnych środków po większej części przerażają się trudnościami, tracą zapał i wiarę w siebie, opuszczają ręce i nie dochodzą do urzeczywistnienia swych pragnień. Tęższe tylko umysły śmiało podążają naprzód, zwalczają wszelkie przeszkody i dochodzą do celu, zyskując potrzebne wykształcenie drogą *samopomocy*.

Autor zatytułowanej książki sam szedł po tej drodze, z pełną więc wiarą i z opartym na własnej praktyce przekonaniem postanowił, jak powiada: „nie tylko uwydatnić ową głęboką, dowiedzioną już prawdę, że samemu uczyć się można, że co więcej nauka taka jest najskuteczniejszą, lecz nadto wskazać o ile możności, praktyczną drogę samouctwa—w kierunku najniezbędniejszym w powszednim życiu, najkonieczniejszym w każdej postępowej pracy, w kierunku *ogólno-realnym*”.

Pracę swą dzieli pan J. na dwie części: 1° Pojęcie samopomocy oraz jej ważność w kształceniu się. 2° Środki samopomocy, kształcenia się w kierunku ogóln. realn.—W pierwszym rozdziale po wykazaniu, iż brak pojęcia naukowej samopomocy ma swe źródło w wadliwym systemie pierwiastkowego kształcenia i po zaznaczeniu racyjonalnych zasad pedagogicznych, autor na dowód do czego dojść można samodzielną pracą podaje krótkie życiorysy Ig. Pietraszewskiego, Zen. Fisza (F. Padalicy), Ant. Wieniarskiego, Ewar. Estkowskiego, Józ. Paszkowskiego, a także Filipa Benedyktowicza.

W rozdziale II znajdujemy podane środki samopomocy tak pośrednio jak i bezpośrednio pomocnicze przy kształceniu się. W paragrafie drugim tego rozdziału możnaby się nie zupełnie zgodzić z autorem co do wyboru pewnych książek, a nawet zaznaczyć pewne opuszczenia—ze względu jednak że szczegółowa co do tego polemika przedstawiałaby w tym miejscu zbyt mało interesu — pomijamy ją zupełnie; zaznaczamy natomiast że cała książka tak ze względu na swą dążność, jako też sumienne i praktyczne opracowanie takowej, zasługuje na rozpowszechnienie. Szczerze też polecić ją możemy wszystkim, a mianowicie tym, którzy sami pracują nad swym wykształceniem,—tym, których szanowny autor nazywa „najbliższemi braćmi swych dążeń”. *J. M. K*

Rozmaitości.

Na ostatnim konkursie dramatycznym w Krakowie żadnej sztuce nie przyznano najwyższej nagrody (500 zlr). Nagrodę 250 zlr. oddano p. Tomaszowi Antoniemu Olizarowskiemu za dramat z dziejów ruskich p. n. *Rognieda;* nagrodę 150 zlr. przyznano p. Michałowi Bałuckiemu za komedyją społeczesną p. n. *Emancypowane.* Zalecono do przedstawienia p. Koziebrodzkiego *Celinę* (jednoaktowa); p. Zofii Meller. Zyzio (5-cio aktowa), p. Jasińskiego—*Klątwa* (5-cio aktowy dramat z dziejów serbskich, prozą).

* * *

Teofil Lenartowicz napisał dwa poemata: 1) Komedyja piekielna; 2) Słowianie.

* * *

Na scenie poznańskiej przedstawiano w ostatnich miesiącach obrazek sceniczny p. Zygmunta Sarneckiego, dyrektora tamecznego teatru i znanego już czytelnikom naszym autora dramatycznego. Nowa ta praca nosi napis: *Nad Renem.*

☛ Do dzisiejszego numeru dołącza się opis dzieła „**O małżeństwie**“ *Narcyza Wiśniewskiego.*

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.